

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

1

ROZDZIAŁ I.

Morderstwo na ulicy Audley.

Ja, Dunkan Brett, kapitan królewskiej marynarki, przyznaję niniejszem publicznie, że na mnie wyłącznie spada odpowiedzialność za tragiczne zawiązanie, które ujawniły się po owym strasznym morderstwie. Sam nie pojmuję, jak mogłem wówczas tak zupełnie stracić głowę, ja, który w zwykłych warunkach mogłem się poszczycić zarówno stanowczością działania, jak i odwagą. Dla uspokojenia jakichkolwiek, choćby najmniejszych wątpliwości czytelnika, wystarczy jeśli wskażę na fakt, że pierś moją zdobi złoty medal.

Gdybym był wówczas umiał zapanować nad sobą i nie stracił głowy, wiele byłoby się lepiej pokierowało. Jednak widok nieszczęśliwej kobiety, która ugodzona ręką mordercy padła prawie u stóp moich na twarde kamienie ulicy, zwłaszcza zaś widok Feutona, pochylonego nad nią z twarzą wykrzywioną przerażeniem, pobawił mnie wszelkiej mocy panowania nad sobą. Naprawdę, było tego za wiele.

Długa minuta minęła, a ja stałem na miejscu jakby skamieniały; uporczywie wpatrywałem się w niego, on zaś przerażony i jakby spłoszony milczał; wreszcie przełamałem się ostatnim wysiłkiem woli i wybuchnąłem.

— Na Boga! Ty zabiłeś tę kobietę! — krzyknąłem. — Morderco! Dlaczego to zrobiłeś?

Grzegorz Feuton wyprostował się i spojrzał na mnie.

— Dunkan! Dunkan! — zawołał — Ty? Miłośnierne nieba! Więc ty mnie widziałeś?

— Ma się rozumieć! Jakies nieszczęsne przeznaczenie sprowadziło mnie dzisiaj na tę ulicę i kazało mi być mimowolnym świadkiem twojego strasznego czynu.

Feuton milczał, przez moment spojrzenia nasze skrzyżowały się, a potem wzrok jego osunął się na jakiś przedmiot, który trzymał w ręce, błyszczący, jakby ze stali, na którego końcu lśniły jakby złamki szkła. Ze mną działo się coś niezwykłego. Przecież u licha już gdzieś ten przedmiot widziałem! Ale gdzie i kiedy to było? Usiłowałem się bodaj trochę uspokoić i zmusić do zdania sobie sprawy z tego wszystkiego na com patrzył. W tem Grzegorz, który był się cokolwiek napróżd pochylał, wyprostował się nagle, odetchnął głęboko, wreszcie jak dziecko, które się przestraszyło, wybuchnął płaczem. Zanim zdążyłem bodaj słowo się jeszcze do niego odezwać, rzucił się w panicznej ucieczce w pustą ulicę.

Patrzyłem za nim dopóki nie zniknął na najbliższym skrzyżowaniu się ulic. Widziałem jak postać jego odbijała się w drżących odbłyśkach lamp gazowych na mokrych od deszczu chodnikach.

Ukląkłem obok biednej kobiety i pochwyciłem jej rękę. Puls przestał już bić. Poszukałem serca, ale i tu była cisza, życie już uleciało. Natomiast znalazłem coś innego, co skaleczyło mi dłoń, jakby szkło. Pochyliłem się aby lepiej zobaczyć i w tej chwili przed oczyma memi stanął przedmiot, który Feuton trzymał w ręce. Teraz wiedziałem już co to było. Ileż razy podziwiałem ten rzadki okaz w pokoju Feutona. Był to wenecki sztylet o szklanym ostrzu. Połowa tego też tkwiła teraz w piersi biednej, nieszczęśliwej kobiety, nad którą klęczałem.

Jeszcze raz przesunąłem ręką po miejscu, gdzie otrzymała śmiertelny cios. Drobną deszcz mżył i wsiąkał powoli w ubranie nieszczęśliwej ofiary. Ale zarówno złamany koniec sztyletu, jak i suknie dookoła niego były suche. Ani kropla krwi nie wypłynęła. Sztylet wykonał swą robotę sorawnie, jedno jedyne pchnięcie i wszystko było skończone.

Odkrycia, które poczyniłem podzielały na mnie tak silnie, że na chwilę straciłem prawie zupełnie przytomność. Nie wiem jak długo klęczałem obok zabitej patrząc w jej blade oblicze, które z pewnością nie było bielszym od mojego. Nie słyszałem też kroków, które zbliżały się ku mnie z jednej z bocznych uliczek i zerwa-

łem się dopiero, kiedy tuż koło mnie zabrzmiało pytanie rzucone ludzkim głosem. Spojrzałem na przechodnia — przedemną stało jakieś wielce podejrzane indywiduum, długie i chude, otulone w resztki czarnego ubrania. Oslaniał on się od deszczu parasolem, przez którego liczne dziury przenikało światło latarni. Mówił, jakgdyby słowa wyrzucał z siebie w urywanych zdaniach.

— Dama zemdlą! — zdarza się. Wielkie gorąco — wielkie zimno — umiarkowana temperatura — zresztą wszystko jedno. Czasem także inny powód — tu na przykład brzydkie powiętrze — tak przypuszczam przynajmniej mój panie. Ciekawy wypadek. Pozwoli pan panie — do licha, jak to się pan nazywa — doktor Fitzgerald, lekarz, hrabstwo Waterford — sławny lekarz w Londynie — bez odrobiny próżności, chociaż już nie praktykujący.

Dziwne to zjawisko ukłękło koło mnie, a długie, chude ręce zaczęły szybko poruszać się po ciele kobiety. Spoglądałem, jak chwytają za zegarek i łańcuszek.

— Mój zegarek już dawno zgubiony — oświadczył półgłosem — zegareczek choć damski dobrze pójdzie. Główna rzecz przy badaniu pulsu!

W momencie, kiedy zegarek miał już zniknąć w przepaścistych kieszeniach, chwyciłem go za ramię i wykręciłem mu zdobycz z ręki. Podłe złodziejstwo podziało na mnie jak szklanka zimnej wody. W jednej chwili opanowałem nerwy, mogłem już spokojnie i jasno zdawać sobie bie sprawę ze wszystkiego. Pchnąłem bandytę silnie w piersi, tak, że zatoczył się aż pod mur.

— Natychmiast stąd precz — krzyknąłem — albo też nakręcę ci karku, ty podły złodzieju!

— Oho! Paniczul — cofnął się dyskretnie, obserwując mnie uważnie — Czy znowu chcesz zacząć swą robotę? Jedno morderstwo na noc ci nie wystarczy?

— Przy najbliższej sposobności wydam cię w ręce policyi jako złodzieja, złoczyńco!

— A ja mój panie, bodajbym nigdy nie był sławnym lekarzem, jeśli nie wydam cię natychmiast w ręce najbliższego stróża moralności publicznej, jako pospolitego mordercy! Tak, tak! Mordercę, któremu krew jeszcze z rąk ciecze.

Pobiegł szybko ulicą wrzeszcząc wysokim, skrzeczącym głosem: „morderca! morderca!”

Pozostałem przy zabitej i namyślałem się, co robić. Uciekać, czy pozostać? Nieszczęśliwy! Ze też właśnie tą drogą musiałem przechodzić! Rzecz prosta, byłem sobie sam winien, bo właściwie dla czego kochałem się aż powyżej uszu. Zaledwie rano dowiedziałem się o nowym moim awansie, pospieszyłem do stóp tej, która serce me posiadała, kiedy jeszcze chodziła w krótkich spódniczkach. Krótko — zaręczyłem się. Szczęście otumaniało mnie formalnie. Czułem ciągle jej pocałunki na ustach dawno już opuściwszy moją ukochaną. Błąkałem się po ulicach.

Drogę do hotelu, w którym mieszkałem znałem doskonale. Czyż można się jednak dziwić, iż właśnie tej nocy musiałem się błąkać po wąskich uliczkach, aż w końcu znalazłem się na pustej Audley Street i tu natknąłem się na Grzegorza Fentona i widziałem tragiczny mord?

Nie mogłem się zdecydować, co robić, czułem że powinienem uciekać. Jednak było już za późno. W tej chwili rozległy się się pospieszne kroki i policyant stanął przy mnie. Za nim dojrzałem owo czarne indywiduum z potarganym parasolem.

— O! O! złapaliśmy ptaszka — wołał on wskazując na mnie — na świeżym uczynku! Morderstwo rabunkowe! Trzyma jeszcze zegarek w ręce! Siedemnaście kamieni! A proszę, nie zapomnij pan, że ja panu go wskazałem i należy mi się nagroda. Nazywam się doktor Fitzgerald, niemam niestety kart wizytowych przy sobie, zapamiętaj pan sobie moje nazwisko.

ROZDZIAŁ II.

Podczas drogi do budynku policyjnego starałem się zdać sobie sprawę z mojego obecnego położenia. Jakżeż podle obszedł się ze mną los! Przed pół godziną byłem jeszcze spokojnym obywatelem, Dunkanem Brett, kapitanem okrętowym Jej Królewskiej Mości, na którego cześć nie ciążyła żadna plamka. W zgodzie z całym światem, pół pijany szczęściem, wracałem spokojnie ulicą do hotelu — a teraz byłem więźniem, którego opieka sprawiedliwości ledwo potrafiła ocalić z rąk krwi chciwego mołochu. Zarzucano mi popełnienie strasznego zbrodni — niewinność moją mogłem wykazać tylko oskarża-

jąc Grzegorza Fentona, brata mej narzeczonej. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Czułem, jak w kropkach po nim spływał. Strasznie powikłane okoliczności! Przez chwilę byłem gotów pomyśleć, że trapi mnie jakiś straszny czyn, ale jedno spojrzenie rzucone na policyantów, siedzących obok mnie, przekonało mnie, że to jest rzeczywistość.

Dorożka zatrzymała się przed gmachem policyi. Znowu dookoła zgromadził się tłum, który ciekawie przyglądał nam się gdyśmy wysiadali. Czy dzisiaj wieczór nie mieli ludzie w Londynie nic lepszego do roboty? Zaprowadzono mnie natychmiast do służbowego urzędnika, który przeprowadził wstępne przesłuchanie. Wezwał mnie, abym zgodnie z prawdą wszystko opowiedział. Uczyniłem zadość jego wezwaniu, opowiadając obszernie przeżycia dzisiejszego wieczoru, poczynawszy od wpół do dziesiątej wieczór, kiedy rozstałem się z narzeczoną. Wszystko powiedziałem prócz nazwiska Fentona. Opowiedziałem tylko, że nagle natknąłem się w ulicy Audley na mordercę. Tenże był średniego wzrostu i o ciemnej cerze, pochylał się nad zabita kobietą, trzymając w ręce złamaną jakąś broń. Kiedy do niego przemówiłem, uciekł szybko w kierunku Oxford Street.

— Czy może pan poznać mordercę? — zapytał urzędnik.

Byłem przygotowany na to pytanie, odpowiedziałem też natychmiast.

— Z pewnością poznałbym go, gdyby go przedemną postawiono.

Zanołował coś pospiesznie i rzucił:

— A potem co było?

— Kiedy morderca uciekł i znikł na rogu ulicy, nachyliłem się nad leżącą na ziemi kobietą, ale przekonałem się natychmiast, że wszelki ratunek jest niemożliwy. Życie już dawno uszło. Nagle obok mnie z ciemności wynurzyło się jakieś ciemne indywiduum, które nazwało się doktorem Fitzgeraldem i chciało obrabować zabita. Przeszkodziłem temu, odpuściwszy go z całych sił. Za to oskarżył mnie przed policyją, nazywając mnie mordercą. Oto wszystko co mogę powiedzieć, resztę dowiedział się pan już od swoich ludzi.

— Czy pan jest zupełnie pewny, iż nie ma mi pan już nic do powiedzenia? — egzaminował mnie urzędnik.

— Zupełnie pewny — potwierdziłem — mogę jedynie dodać, że popełniono błąd, aresztując mnie. Oto moja karta, jeśli pan chciał zebrać bliższe o mej osobie informacje.

Urzędnik spojrzał na podaną kartę i przemówił uprzejmie:

— Znalazł się pan w bardzo przykrem położeniu, panie kapitanie. Współczuję szczerze z panem, tembardziej, że każdemu z nas może się coś podobnego wydarzyć. Niestety, obowiązkiem nie pozwala mi uwolnić pana natychmiast. Jutro zaraz przeprowadzimy dochodzenia, które oby potwierdziły podane przez pana szczegóły. Postaramy się także sprawdzić tożsamość zabitej kobiety. Jak pan przypuszcza, co mogło być powodem morderstwa?

— Cóż ja mogę wiedzieć? — odpowiedziałem. — Przecież nigdy przedtem nieszczęśliwej nie widziałem.

— Pan źle mnie rozumiał, panie kapitanie. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy pan nie słyszał przypadkiem jakiegoś podejrzanego odgłosu, jakiegoś kłótni lub walki, kiedy pan szedł ulicą.

— Nie — stwierdziłem. — Co prawda głowę miałem tak pełną własnych różnych myśli, że nie zwracałem na nie uwagi. Gdyby nie to, prawdopodobnie wogóle nie byłbym zaszedł na tę ulicę. Prawdę powiedziaławszy zabłądziłem.

— Zdaje mi się, panie kapitanie, że na tem możemy zakończyć przesłuchanie. Radzę panu w każdym razie napisać do kilku przyjaciół, których świadectwo potwierdzi to, co nam pan o sobie powiedział. Adwokat pana takżeby się tu bardzo przydał. Na dzisiejszą noc musi się pan zadowolnić niezbyt wygodną kwaterą, niestety, lepszej nie mam, a pan wie, że to nie moja wina.

(Ciąg dalszy nastąpi).